

J. HAWTHORNE.

# Tragiczna tajemnica.

Z upoważnienia autora z angielskiego przełożył J. R.

13 (Ciąg dalszy).

Chwaliła go pod każdym względem. Pytałem się jej, czy powraca do domu stale o pewnej godzinie wieczór; odparła, że w ogólności tak, ale od dłuższego czasu pozostawał kilkakrotnie dłużej w mieście.

— Prawdopodobnie w święta — rzuciłem.

— Tak — odparła. — Raz tylko, koło Nowego Roku, jak wyszedł gdzieś w piątek rano, tak powrócił dopiero w poniedziałek wieczór.

Było to właśnie w czasie, kiedy zamordowano Haniera i zastawiono papierosnicę.

Inspektor skinął głową.

— A więc — rzekł — nie będzie mógł udowodnić swego alibi.

— Niestety nie! Ale to mnie jeszcze nie zadowoliło w zupełności. Pociąg z Jersey City odchodzi o godzinie pierwszej. Zatelegrafowałem więc do Izaaka z prośbą, aby mnie o drugiej oczekiwał w pasażu Alstora. Stamtąd obydwaj udaliśmy się do zakładu, w którym pracuje Johnson. Wystarałem się o pozwolenie zwiedzenia zakładu i pod przewodnictwem jednego ze znajomych zaczęliśmy obchodzić olbrzymie ubikacje. Powiedziałem Izaakowi, żeby mi dał znak, jak tylko spostrzeże kogoś, podobnego do Robertsona. Nareszcie przyszedł do drukarni. Tam stał Johnson. Nie zdradziłem się naturalnie najmniejszym ruchem, ale Izaak, zobaczywszy go, pociągnął mnie za rękaw i rzekł:

— Oto jest człowiek, który zastawił srebrny zegarek. Poznaję go doskonale.

— Dobrze — rzekł inspektor — sprytnie się pan urządza. Zdaje się już nie ulegać wątpliwości, że fałszerzem kwitu jest Johnson. Ale jak sobie to wytłumaczyć? Jaki on w tem miał cel?

— Ja sądzę tak — ozwał się Ślimak — Johnson musi być wrogiem pułkownika, ale dlatego właśnie umiał się wdrzeć w jego łaski. Pułkownik, na którego szkodę on działa, nie podejrzewa go naturalnie ani trochę. Johnson przybył przed rokiem z Anglii i wstąpił do zakładu pułkownika, gdzie znalazł robotę. Czyż to nie wygląda tak, jakby on tu był umyślnie wysłany, aby działać przeciw Desmondowi? Pułkownik jest Irlandczykiem, życie jego osłonięte jest tajemniczością. Kiedy ostatnim razem byłem na balu maskowym, pokazał mi go doróżkarz Bride. Desmond był w czerwonym domino; widziałem zaś czterech czy pięciu panów tak samo ubranych. Wślizgnąłem się za nimi tak blisko, że mogłem po części słyszeć ich rozmowę. Byli to sami Irlandczycy. O ile rozumiałem, mówili o Anglii, o wiadomościach politycznych i traktatach, Anglii dotyczących, co było dla mnie nielada niespodzianką, bo byłem przygotowany na jakieś odkrycia w sprawie morderstwa. Nagle przyszło mi na myśl, że to muszą być członkowie tajnego stowarzyszenia.

— Nie jest to nieprawdopodobne — zauważył inspektor — a cóż dalej?

— Niespodziewany wypadek przeszkodził mi w śledztwie. Jakaś deska spadła, powstał ogromny hałas i wszyscy się rozprószyli. Więcej się już dowiedzieć nie mogłem. Rozważyłem więc tylko wszystkie okoliczności i wszystkie szczegóły i przyszedłem do tego przekonania: Robert Johnson jest...

W tej chwili zapukano do drzwi. Wszedł policjant i szepnął coś inspektorowi, coś widocznie ważnego, bo na twarzy jego odbił się wyraz zdumienia.

— Proszę go wpuścić — rzekł, a zwracając się do Ślimaka, dodał: — Właśnie przyszedł Robert Johnson!

Rzeczywiście do pokoju wszedł, za chwilę Johnson i skłonił się przed inspektorem.

— Chciałbym panu inspektorowi udzielić kilku szczegółów — rzekł — które się panu mogą przydać. Dotyczy one mnie samego i kilku jeszcze osób. Czy mogę mówić w obecności tego pana? — dodał, wskazując oczyma Ślimaka.

— Najspokojniej — rzekł inspektor — wie on z pewnością o panu więcej, niż ja.

— Nie wątpię, że wie dużo — ciągnął dalej Johnson — a właśnie przyczyną mego tu przybycia jest chęć wyznania prawdy. Od czasu mojej ostatniej z panem inspektorem rozmowy byłem pod dozorem policyi. Wiem o tem. Tak czy owak więc byłibyscie się panowie wcześniej czy później dowiedzieli tego, co ja może na razie ukryć usiłowałem. Postanowiłem więc sam wszystko powiedzieć.

Po tym wstępie opowiedział swoją historię, której treść podajemy poniżej.

Nazywał on się rzeczywiście Robert Johnson. Pochodził z Anglii i był detektywem w służbie londyńskiej tajnej policyi. Gdy to powiedział, Ślimak skinął mu głową zadowolony; jego przypuszczenie się sprawdziło. Jako detektywa wysłano go do Nowego Jorku celem śledzenia pułkownika Desmonda, który miał stać na czele związku, o jakim poprzednio była mowa. W ręce władzy angielskiej dostało się kilkanaście depesz, listów i dokumentów, dotyczących się tego stowarzyszenia, ale wszystkie były szyfrowane. Klucz zaś do nich mógł mieć jedynie pułkownik Desmond. Zadanie Johnsona polegało więc na tem, aby we wszelki sposób postarać się o wydobywanie tego klucza i przesłać go do Anglii.

W zakładzie pułkownika szybko pozyskał sobie uznanie i zaufanie u wszystkich, tak, że go zrobiono przełożonym nad pewnym oddziałem. Jako taki mógł już, ile razy chciał, osobiście obcować z człowiekiem, którego miał śledzić. Wkrótce też potrafił pozyskać sobie łaski Desmonda, tembardziej, że parokrotnie pułkownik rozmawiał z nim w sprawach dotyczących Anglii i Irlandyi, a śmiałość Johnsona i bystrość jego umysłu w tych sprawach nieraz go w podziw wprawiała.

Częścią dlatego, aby móc mieć wstęp do domu pułkownika, częścią zaś z przyczyn głębiej sięgających, postarał się o to, że umieścił Linkę Pond u Desmondów. Udało mu się przez to doskonale dowiadywać się o wszystkim, co zaszło w domu pułkownikowstwa, bo Linka, nie wiedząc, o co jemu chodzi i jaką ona rolę odgrywa, wygadawała się ze wszystkim. Przekonał się więc wkrótce, że pułkownikowa nie wie nic o tajemnicach swego męża. Pułkownikowa jest kobietą piękną, obdarzoną nadzwyczajnymi zdolnościami muzycznymi, szukającą zawsze jeno estetycznej rozkoszy; ale nie rozumiejącą się zupełnie na polityce.

Różne względy przemawiały za tem, że klucz do owego szyfrowanego pisma posiadał właśnie pułkownik Desmond. Ale nadaremnie suszył sobie Johnson mózg, aby się dowiedzieć, gdzie on ten klucz przechowuje. Zdawało mu się, że klucz musi się znajdować w miejscu bardzo łatwo dostępnem, ale przez to właśnie jeno pułkownikowi znanem.

Nareszcie jednak wpadł Johnson na właściwy ślad. Dowiedział się mianowicie, że dnia pewnego ma się u jednego z członków stowarzyszenia odbyć tajne posiedzenie. Tego dnia oddał mu pułkownik list do żony, w którym ją prosił, aby mu przyniosła srebrną papierosnicę. Johnson list ten otworzył wobec szefa tajnej policyi angielskiej w Nowym Jorku, a ponieważ treść wydała im się podejrzana, postanowili obaj, aby iść śladem, na jaki natrafili, do celu.

Wtem zaszła nieprzewidziana przeszkoda.

Miss Desmond nie mogła zadość uczynić. Papierosnica już była znikła. Gdzież się ona podziała?

Opowiadanie Linki naprowadziło Johnsona na myśl, że pułkownikowa darowała papierosnicę Hanier'owi. Zająście między miss Desmond a Hanier'em, zająście, którego świadkiem była Linka, czyniło przypuszczenie jego bardzo prawdopodobnem, zajęcie się zaś losem tej papierosnicy przez pułkownika kazało się domyślać, że w tej drobnej na pozór rzeczy znajduje się coś rzeczywiście ważnego. Burza w domu pułkownikowstwa wskazywała na to, że miss Desmond się przyznała, a nocna jazda do Haniera mogła mieć tylko jeden cel: odebranie papierosnicy.

Sprawa więc cała rozwijała się dosyć jasno, dopiero morderstwo Hanier'a spowodowało nieoczekiwane zamieszanie.

Kto był mordercą?

Okoliczności, znane Johnsonowi, wskazywały na pułkownika. Stosunek Hanier'a do pułkownikowej i możliwość, że Hanier odkrył tajemnicę papierosnicy, były dostatecznymi powodami do zbrodni. Pułkownik, który na chwilę przedtem był w domu Hanier'a, mógł jeszcze powrócić i zamordować go.

Dalej opowiadał Johnson, jak szedł do swego celu i w jaki sposób wy dobył papierosnicę z lombardu. Znalezionej klucz do tajnego pisma odesłał zaraz przez swego szefa władzom angielskim. Kiedy zaś chciał się pozbyć papierosnicy i zastawić ją w pierwszym lepszym lombardzie, został aresztowany przez inspektora, który wszystkim właścicielom lombardów nakazał, aby zatrzymali tego, kto się do nich zgłosi z papierosnicą. Wspominał też Johnson o swojej przygodzie na balu maskowym, nie tając, że podeszła go Linka, która przywdziała kostium dla jej pani przepisany.

— Mamże stąd wyciągnąć wniosek — przerwał inspektor — że pan podejrzewasz i oskarżasz pułkownika o zamordowanie Hanier'a?

— Gdyby mnie pan był o to wczoraj zapytał — odparł Johnson — byłbym stanowczo pytanie to potwierdził; ale z tem większą stanowczością muszę je dzisiaj zaprzeczyć.

Po tej odpowiedzi inspektor otworzył szeroko oczy, a Ślimak podniósł się nagle, jakby podrzucony, lecz opanował się i wpatrzył się w Anglika jakby zahypnotyzowany.

— Od dnia, w którym się odbył bal maskowy — ciągnął Johnson — mogłem się dopiero dzisiaj widzieć z Linką. Przedtem nigdy nie chciała ze mną mówić, prawdopodobnie, jak przypuszczałem, dlatego, że chciałem wpłynąć na miss Desmond i że wiedziała prawdopodobnie o tem, iż ja nie jestem jeno zwyczajnym robotnikiem, ale urzędnikiem angielskiej tajnej policyi. Dzisiejsza dopiero z nią rozmowa otworzyła mi oczy i przedstawiła mi pułkownika i jego żonę w innem zupełnie świetle.

Wiesz pan bezwątpienia, że miss Desmond jest rodowitą Francuzką. W dwudziestym roku debiutowała ona pod pseudonimem Spinalba w operze, gdzie od razu uzyskała świetny sukces. Naprzód występowała we Francyi i w Niemczech, następnie zaangażowała się do Londynu i śpiewała w teatrze Covent Garden. Tam poznał ją pułkownik Desmond, zakochał się w niej i oświadczył się, a wkrótce potem ożenił się z nią pod jej artystycznym nazwiskiem, w przekonaniu, że ona się rzeczywiście tak nazywa. Nie wiedział też, że ona była córką ubogiego rzemieślnika francuskiego i że jej brat był fabrykantem likierów, a nazywał się Ludwik Hanier.

— Więc to był jej brat! — zawołał Ślimak. — No, teraz już wszystko jasne!

Johnson opowiadał dalej, jak miss Desmond, która wraz z mężem mieszkała w Nowym Jorku, odkryła pewnego dnia swego brata, znajdującego się w ostatniej nędzy. Nie śmiała przyznać się mężowi, że to jej brat; pułkownik bowiem był arystokratą do szpiku kości i był przekonany, że żona jego pochodzi ze szlacheckiej, choć może podupadłej rodziny. Zdecydowała się więc przyjąć Haniera do swego domu na piwnicznego. I Hanier byłby tam z pewnością do dziś dnia na tem stanowisku pozostał, gdyby pułkownik nie był zauważył, jak mu się zdawało, zanadto poufalego stosunku Haniera do swej żony. I to było przyczyną, że Hanier dostał wypowiedzenie. Miss Desmond pomogła mu jednak wynająć mały sklepik i urządzić go, a nadto wspomagała go często pieniężnie. Niejednokrotnie też dawała mu podarki.

Na jej żądanie zataił Hanier nawet przed swoją żoną, że jego dobrodziejka jest jego rodzoną siostrą. Pułkownik też nie wiedział nic, że żona jego pozostawała ciągle w stosunkach z Hanierem.

Nadeszło Boże Narodzenie. Miss Desmond poczyniła zakupy w wigilię; do domu wróciła późno i dopiero wtedy spostrzegła, iż zapomniła kupić podarku dla brata. Przykro jej się zrobiło, że Hanier nie od niej nie dostanie, wtem zobaczyła na biurku męża papierosnicę. Zdawało jej się, że ta papierosnica dla męża jej niema żadnego znaczenia, bo pułkownik nie palił. O tem, co się później stało, Czytelnicy już wiedzą.

Miss Desmond, zobaczywszy, jak bardzo pułkownikowi na tej papierosnicy zależy, nie zdołała wobec jego natarczywych pytań i gróźb dłużej zachować tajemnicy. Wprawdzie pułkownik zdumiał się ogromnie, usłyszawszy, że Hanier jest jej bratem, jednak przyjął tę wiadomość o wiele łagodniej, aniżeli ona się spodziewała. Powiedział jej nawet, że wedle sił starać się będzie pomagać Hanierowi. Przedewszystkiem jednak chodziło mu o dostanie papierosnicy. Nie można było po nią posłać służącego; postanowiono więc, że miss Desmond sama uda się do Haniera, żeby zaś uniknąć wszelkich podejrzeń, uczyni to dopiero w nocy, kiedy Hanier już sklep zamknie. Pułkownik dlatego przedsięwziął te ostrożności, bo wiedział, że policya angielska nim się opiekuje, a nie życzył sobie, aby ta papierosnica dostała się w ręce agentów londyńskich. Nie przydało mu się to jednak na nic, bo człowiek, przeciw któremu on nie miał najmniejszego podejrzenia, poszedł za nimi aż ku gospodzie Haniera, i z tego, co tam widział, wyciągnął odpowiednie wnioski. Przez ostrożność zabrał też pułkownik ze sobą rewolwer, który położył obok siebie, aby móc papierosnicę włożyć na sam spód kieszeni. Wysiadając, zapomniął go zabrać i zostawił go w doróżce.

Kiedy na drugi dzień rano rozeszła się wieść o zamordowaniu Haniera, miss Desmond naturalnie od zmysłów odchodziła. Ulegając jej prośbom i błaganiom, poszedł z nią pułkownik na ulicę